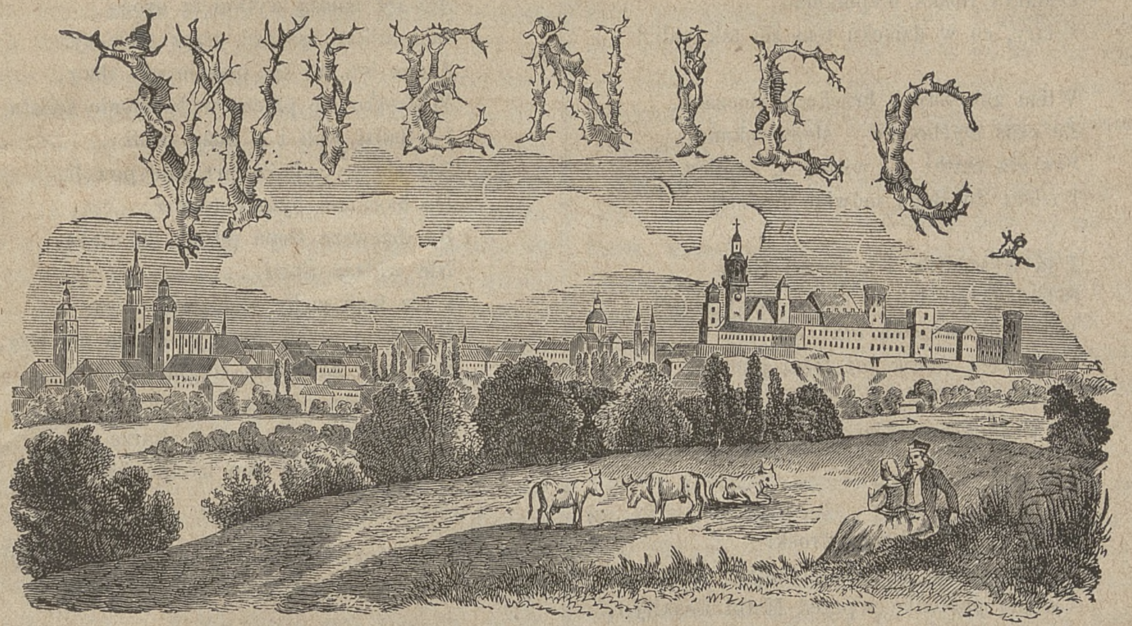
Nr. 20. Październik. 1862.



DWUTYGODNIK LITERACKI.

Wychodzi w Krakowie w połowie i na końcu każdego miesiąca w objętości najmniéj 2ch arkuszy—do których raz w miesiąc dodają się tablice z krojami, wzorkami i deseniami. Prenumerata w miejscu kwartalnie 1 zł. 50 cen. w. a., półrocznie 3 zła.— rocznie 6 zła.— Dla prowincyi z przesyłką pocztową: kwartalnie 2 zła.— półrocznie 4 zła.— rocznie 8 zła.—W królestwie pruskiem z przesełką pocztową: kwartalnie 1 Tal.,—półrocznie 2 Tal,—rocznie 4 Talary.— Prenumerować można w **Redakcyi** w Krakowie przy ulicy Szerokiej pod L. 486 1sze piętro — w **Ekspedycyi** dziennika **„Czas“** i w księgarni **Grzybowskiego.**— Miejscowi odbierać mogą **Wieniec** w Ekspedycyi „Czasu.“-- **Listy niefrankowane nie przyjmują się.**

ZŁAMANA WIARA.

I.

Zczerniałe Matki Maryi lica
Blask srebrnej lampy oświeca,
W cieniach ołtarza habit się mnicha
Bieli — kaplica pusta i cicha. —
Babka starucha służka Maryi
Kościół zamiata, z cicha nuci jej:
„Dobranoc tobie, śliczna lilija!“
Wieżyca dzwoni Ave Maria —
I w chórze śpiew słychać księży.

— W opadającym na ołtarz pyle
Ileż modlitew, skarg ludzkich ile,
I westchnień bolesnych cięży?

Myślę— wtem słyszę: za mną szeleści
Szmer po kamieniach sukni niewieściej,—
Dwie panie w grubej weszły żałobie,
I kurz podróżny na szatach obie
Miały: lecz twarzy'm nie dojrzał wiele,
Bo zmrok już duży był na kościele.—

Jedna z nich krzyżem padła na ziemi,
I z pod leżącej jak z pod mogiły
Płacz się wyrywał tony rzewnemi,
A pośród płaczu modlitwy były.

O! nie patrzajcie mi teraz w oczy,
Bobym się wstydził łzy, co się toczy
Z twarzy, gdym słuchał, jak piersi grały
Jej spazmatycznym płaczem czas cały.

Wstała— „O Matko Boska“ powtarza,
I na kolanach się do ołtarza
Dopełzła— i szła w koło trzy razy
Na klęczkach, stopni całując głazy.
Gdy światło lampy twarz oświeciło,
Bladą— westchnąłem:— w twarzy nie było
Oczów, i rzęsy na twarzy białej
Na przebudzenie oczów czekały.

A matka na mszą mnichowi daje —
„Patrz ojcze, mówi, serce się kraje,
Że taka wątła, że taka blada,
Boso czterdzieści mil tu wędruje
Sił swych ostatkiem— „matko“ mi gada,
„Ja taką wiarę w swem sercu czuję,
„Gdy w Częstochowskiej klęknę kaplicy,
„To jasność da Bóg mojej źrenicy—
„Źrenicę cudem mi odemkniętą,
„Twarz Częstochowskiej Maryi świętą

„Zobaczę— potem mateńko Ciebie.“ —
Módlcie się, ojcze, by Pan Bóg w niebie,
I Matka Boska, niepołamali
Wiary, co w dziecku tem się tak pali.“

Wtem zakrystyan brzęknął kluczami,
Że czas wychodzić— ślepa rękami
Szukała matki — wyszły z kaplicy,
Pacierz do Boga mówiąc Rodzicy.

I ja wyszedłem i z Jasnej Góry
Schodząc myślałem, czy z mocy Bożej
Wiara dziewczęciu oczy otworzy.
Na polach zmrok już leżał ponury,
I mgła jak białych Aniołów stada
Na Jasnogórski klasztór opada.

II.

Kłopoty życia, kolące troski
Zatarły potem w pamięci mojej
Ciemną panienkę z przed Matki Boskiej
Obrazu.— Idę raz— patrzę, stoi
Przed domem dziadów obdartych kupa,
Na trumny wieku, mirtowy wianek,
I kir na oknach zamiast firanek.
Wszedłem paciorek zmówić za trupa...
Wtem w drżącym blasku płonących świecy
Twarz zobaczyłem ciemnej dziewicy.
Do dziada, który objaśniał knoty
Podchodzę— „Dziadku, z cicha spytałem:
„Z czego umarła?— dziad rzekł: z tęsknoty
Za wzrokiem, znałeś ją panie?— znałem.
„Więc wiesz po jakie przyszła tu leki;
Lecz dnie mijały, ciemne powieki
Się nie podniosły— co dzień smutniejsza,
I co dzień wiara w przejrzenie mniejsza,
I mniej na ustach pacierzy było.
I trudno poznać, czy dziewcze żyło,
Bo ani nie jé, ani nie gada,
Gdzie ją posadzą tam milcząc siada,
Jak kamień biały na roli.
I co dzień dziewcze nikło powoli.
A gdy ksiądz przyniósł Najświętsze Ciało —
Zamiast spowiedzi—dziewcze pytało
Czyli przed śmiercią matkę zobaczy?..
Wczoraj skończyła.“ — Odpoczywanie
Wieczne złamanej duszy daj Panie!
I na twarz patrząc, w której zasnęła
Boleść, pytałem: czy już minęła
Cudów godzina?— i tyle ludu
Gniotąc kamienie miejsca świętego,
Nie może sobie wyżebrać tego,
Co ma bezbożny człowiek bez trudu.
Czemu Maryi Panny cud Boży
Dziś Kordeckiego nam już nie stworzy?
Czemu?— Człowieka i ludów losy
Splątane dziwnie — rwać się nie mogą,
Ale iść muszą wytkniętą drogą,
Jak miliony gwiazd przez niebiosy.
Żaden ból, ni łza marnie nie zlata,
Wszystko się plącze w harmonię świata,
I z ludzi woli i z Bożej woli
Nić się wypadków przędzie powoli.
Do harmonii było potrzeba
By dziewcze ślepe poszło do nieba
Nie widząc ziemi.......
I ten trup cichy w białej odzieży
Napróżno przed mym wzrokiem nie leży,
Bo twarz na której stygła nadzieja
Stoi przedemną jak kaznodzieja,
I uczy wiary— i przed ołtarze
Wiedzie myśl, i tam modlić się każe.

Częstochowa 15 paźdz. 1862.

M. Bałucki.

Na dobranoc.

Uśnij mi uśnij, smutkiem zmęczona,
Ja ci podścielę do snu ramiona;
I dum jak puchu do snu pościelę —
Śpij mój Aniele — śpij mój Aniele!

Śpij mój Aniele! — w polu się chmurzy,
Ale ty śpiąca nie słyszysz burzy,
A gdy się zbudzisz – będzie wesele —
Śpij mój Aniele! — śpij mój Aniele!

Śpij mój Aniele! — oczy me świecą
Gwiazdami tobie — a z gwiazd łzy lecą,
Jak ze świeczników złotych w kościele —
Łzami nakryty — śpij mój Aniele.

A kiedy ranek błyśnie na niebie,
I szczęście wejdzie — to zbudzę ciebie,
W usta całując szepnę nieśmiele:
— Noc przeminęła— wstań mój Aniele!

M. Bałucki.

BIAŁA FIGURA

przez

Krystynę L.

Pierwszych dni rozpoczynającej się wiosny, pan Madaliński z małym swym synem 6-letnim Zdzisiem wyszedł w pole na spacer. Ranną przechadzkę lubił najwięcej; bo tu natura w całej pełni swej świeżości przemawiała najsilniej do jego du-

szy. Słońce wzbijając się w górę, nie zważyło jej jeszcze swym skwarem; lecz osuszało brylantową rosę, która drżąc dojęta ciepłem, niknęła z zielonych listków — kielichy kwiatów rozwijały się, chyląc ku jasnym promieniom. Roje pszczół brzęczały, szukając słodkiej paszy, zbierając na drobne łapki pyłek z kwiatów na budowy swych sześciokątnych pałacyków. Koniki polne skacząc sykały — i różne drobne żyjątka wydawały nieprzeliczone głosy na ziemi. W powietrzu unosiły się ptaki, śpiewając i świergocząc wesoło; gdzieś zdala dolatywała śpiewka pastuszka — a tak wszystko zlewało się w jednę harmonię hymnu chwały i dziękczynienia dla Stwórcy wszech rzeczy.

Kto się wtajemniczy w ten świat duchowy natury; kto obejmie całą duszą jego wielkość, dla tego nikną powoli drobnostki ziemskich zachodów, odrywa się od ziemi i nastraja na ton modlitwy. Błogo mu się i lekko robi w duszy — cała natura użycza mu swej siły i prostoty — zbliża się przez nią do Boga — w tej chwili jest lepszym, miększym — rozjaśnia mu się w głowie, cieplej robi w sercu, tworzy największe zamiary i przedsięwzięcia, które niestety! powrót do salonów i życia konwencyonalnego ziębi i rozbije najczęściej.

Pan Madaliński był właśnie człowiekiem, dla którego żaden dar boży nie przeszedł marnie i niedostrzeżony. Szedł też i teraz powoli zadumany, przebiegając myślą łańcuch miłości, wiążący Stwórcę z stworzeniem.

Mały zaś Zdziś szedł koło niego, nie sztywnie jak lalka w rękawiczkach wykwintnie ubrana; lecz w lekkiej odzieży biegał swobodnie, zapytując raz po raz ojca o nazwiska roślin, robaków i wszelkich rzeczy, które uderzały jego młodocianą wyobraźnię.

Nauczał i wpajał w syna pan Madaliński miłość do ziemi karmicielki naszej — do wszystkich niższych stworzeń bożych. Zdziś nie odbierał życia dla rozrywki robakowi, ani się pastwił nad ptakiem niszcząc gniazda, bo wiedział, że ich Bóg zarówno stworzył, i że im nie trzeba źle czynić. Przechadzka nie była też dla niego tylko pożyteczną do rozwijania sił fizycznych, ale była zarazem nauką — nauką, jakiej nie dadzą żadne szkoły w świecie; tylko uczucia rodzicielskie, rozwinąć potrafią tę najszlachetniejszą stronę człowieka: pojęcie miłości ludzkości, w całej doniosłości tego słowa.

Dziecię, uczy się szanować w robaku stworzenie Boże; z latami uczy się kochać Boga w bliźnim swoim; w niższym od siebie według ustaw świata i widzi równego w obliczu Boga, dziękując za swe stanowisko, że może być opieką i pomocą słabym i upośledzonym.

Kto tej miłości nie zaczerpnął od kolebki — lub nie rozwinął w sobie choćby w późniejszych latach, ten zawsze będzie twardy i niewyrozumiały dla drugich. Będzie robił wiele na świecie dobrego, będzie bardzo zacnym człowiekiem, ale z maluczkim się nie zrozumie, klucza nie znajdzie do jego serca.

Pan Madaliński był właścicielem znacznego majątku, którym sam zarządzał, z pomocą młodych ludzi, kształcących się u niego w zawodzie gospodarskim; nie zaniedbując przytem nauk i sztuk pięknych, których był wielkim miłośnikiem.

Celem zwykłych przechadzek pana Madalińskiego było wzgórze wyniosłe, z którego się roztaczał przecudny widok. Stanąwszy na szczycie od zachodu, błyszczały do słońca zwierciadlane szyby stawów i bielały murowane budynki; dalej snuły się doliną zielone łąki, które przecinała kępa zbitych starych drzew, z poza nich wychylały się zabudowania, a nad temwszystkiem panowała korona niebotycznych dębów, w której suche konary świeciły niby wierzyce. — A dalej jeszcze ciągnęły się chaty wiejskie z wielkim murowanym kościołem, promienie słoneczne spadając na krzyż blachą pokrytej wieży, roznosiły daleko światło i wiarę — kierując kroki i serca mieszkańców najczęściej w tę stronę. Jeszcze w dali widne były wioski i drzewa, ale te niknęły już na tle obrazu. — Widok na południe ze wzgórza był wcale odmienny — poniżej ciągnęły się pola i lasy w różnych przegubach, powyżej w pewnych dniach piętrzyły się też przed oczyma sinawe Karpaty, na których łatwo było można dojrzeć płaty śniegowe — mgła niebieskawa przysłaniając je niby górą, niknąc czasami w słońcu, wyrazistszemi je czyniła, tak, że 20-milowa odległość znikała całkiem, a Karpaty wyrastały niby z okolicznych pól i lasów. Prawdziwe stepowe *fata morgana.* Bywały też dnie, że widzenie nikło zupełnie przysłonięte chmurami, i prócz poziomego widoku nic dojrzeć nie było można.

Pan Madaliński zdążał właśnie do swego ulubionego wzgórza — Zdziś o wiele już go wyprzedził — kiedy naraz pojawia się o kilka tylko kroków od niego wielkie psisko, z spuszczoną głową zapieniony i z sierścią najeżoną, dążący właśnie w stronę, którą pobiegł Zdzisio. Nie podpadało wątpliwości, że pies ten był wściekłym.

Biedny ojciec, zmierzywszy jednym rzutem oka całe niebezpieczeństwo grożące dziecku jego, struchlał i zaledwo był w stanie zawołać na niego — ale piersi słaby głos wydały, którego Zdzisio nie usłyszał, a pies tylko postraszony zaczął pospieszać ku chłopczynie. — Pociemniało w oczach panu Madalińskiemu — radby lotem ptaka dziecko dosięgnąć, a tu czuje, że mu nogi trętwieją — we-

zawszy jednakże Boga na pomoc, puszcza się za nim, ile mu sił starczy.

Na wzgórzu stała stara grusza, na niej wisiała malutka czerwona kapliczka, chwiejąca się za każdym wiatru powiewem, z wizerunkiem Matki Boskiej. Tamto zrozpaczony ojciec dopędziwszy Zdzisia, zastał go klęczącego, drobne rączęta jego objęły grubą gruszę, a ustka drżące wymawiały z gorącą wiarą te słowa: „Matko Boża, ratuj mnie.“

Pies ominąwszy szczyt wzgórza, biegł skomląc drogą ku lasowi. —

Pan Madaliński rzucił się na kolana obok syna— widząc go ocalonego, łzy rzęsiste potoczyły się z oczu biednego przerażonego ojca; — przygarnąwszy ocalone dziecię do serca, dziękował z niewymownem uczuciem Najświętszej Pannie, że go wyraźną swą łaską zasłoniła od niechybnego nieszczęścia! Pan Madaliński bowiem, mając laskę żelazem okutą, mógł się obronić — ale dziecko, tylko pod cudowną opieką Matki Najświętszej, mogło znaleźć ocalenie.

Długo więc klęcząc na miejscu, modlili się obydwa gorąco i rzewnie; w końcu ojciec ujął Zdzisia za rękę i pospiesznym krokiem w milczeniu wrócił do domu.

Tu opowiedział żonie całe wydarzenie — oraz i postanowienie swoje wzniesienia na tem miejscu statuy, której już nawet plan w swej myśli nakreślił. — I niebawem wzięto się do wykonania. Sprowadził z Pinczowa ogromne bryły białego kamienia pan Madaliński i naradziwszy się z rzeźbiarzami w Krakowie, sprowadził do siebie uzdolnionego z ich grona człowieka z pomocnikami, i pod jego okiem wnet rozpoczęto pracę.

W końcu jesieni stanęła na wzgórzu obok starej gruszy, na podstawie ułożonej z ośmiograniastych kamieni prześliczna rzeźbiona statua Matki Boskiej. Pod płaszcz jej łamiący się i w szerokich draperyach do stóp spadający, tuliło się grono małych dziatek, przyjętych pod świętą jej opiekę. Nad głową jej nioba z ozdobnie złoconych promieni, dziwnie pięknie odbija przy blasku słonecznym. Tak pomysł jak wykonanie udały się bardzo szczęśliwie.

Kiedy figura ustawioną już była, posadzono koło niej drzewka zielone i w pierwszą niedzielę po nieszpornem nabożeństwie, przybrano ją w lampy kolorowe i wieńce z kwiatów, sąsiedztwo zjechało się liczne, a ksiądz proboszcz z procesyą ludu, udał się na wzgórze poświęcić uroczyście jak lud ją nazwał: Białą Figurę.

Od opisanego wydarzenia upłynęło lat z górą trzydzieści. Tak się jednak wyryła w sercach mieszkańców okolicznych pamięć postawienia i poświęcenia figury, że dotąd stanowi mianowicie we wsi epokę, od której liczą wszelkie dole i niedole. Chorzy do niej się modlą, składając wota pobożne. W dnie letnie śpiewają pod Białą Figurą, prosząc o urodzaje, lub za nie dziękując Bogu.

Pan Madaliński przeżywszy żonę, zmarł już także przed kilku laty — lecz żyje zawsze w modlitwie i rzewnem wspomnieniu wdzięcznych mieszkańców, z których się pewnie żaden nie pozostał niewspomożony, nieobsypany dobrodziejstwami przez niego. Ochronka zaś dla drobnych dzieci, których matki dnie całe muszą ciężko za domem pracować. — Szkółka dla starszych, z pracownią dla dziewcząt. — Szpital dla chorych i kalek, z funduszem na lekarza i dwóch sióstr miłosierdzia, dla pielęgnowania ich. Złożony w banku kapitał od którego procenta przeznaczone były na zapomogę podupadłych gospodarzy. To pamiątki, które pan Madaliński pozostawił po sobie w swoim majątku, a które niemal w każdej chwili błogosławieństwa słały za nim do Pana zastępów.

Młody Zdzisław ożenił się i objął po ojcu majątek, lecz nietylko odziedziczył ziemie, ale i cnoty ojcowskie — a pole do zasług sam sobie otwierał.

Wrzucone ziarno kiełkowało — a lubo z rodzicielskiego domu, udał się do obcej stolicy i spędził długie lata nauki za granicą — posiewu dobrego nic nie wydarło z duszy, ale owszem, ten dojrzawszy, wydaje bujne i pełne owoce.

Pan Zdzisław jest szanowany i kochany jak ojciec od swoich włościan i całej okolicy. Do jego domu przystęp ma każden, majętny czy ubogi— aby tylko widział w nim zacność i chęć garnięcia się do czegoś pożytecznego na świecie. Nie cierpi on wizyt czczych i zimnych, co to tylko czas marnują— ani owych trutniów towarzyskich, którym się nad niczem pomyśleć ani pracować nie chce —jeżdżą więc i zabierają moralną pracę drugich, i nią się obżywiają—nie przynosząc nic w zamian prócz pustkowia i nudy — tacy ludzie są plagą społeczeństwa prawdziwą.

Jeżeli kto do pana Zdzisława zajechał, to albo krewny i od serca przyjaciel, lub mający do niego ważną potrzebę moralną lub materyalną.—Jeden o poradę w interesach prawnych— ów zobaczyć nowy wynalazek rolniczy lub pożyczyć książkę użyteczną— inny z prośbą o poratunek w docisku dłużników, lub rozmówić się w kwestyach politycznych, w czem pan Zdzisław jako gorąco kraj miłujący i pojmujący jasno stanowisko obywatela, górował przeważnie — światło jego rozumu, przytem miłość i poświęcenie spływało na całą okolicę.

Jak więc kto zajechał, nie krzywił się pan Zdzisław, jak to najczęściej bywa, że mu czas będą znów zabierać — bo wiedział z góry, że go nie zmarni próżnem gadulstwem; szedł więc na spotkanie gościa wesoło, ciesząc się, że mu go Bóg w dom sprowadza.

Czasami w święta lub imieniny, zjeżdżała się cała okolica dla zabawy i ugoszczenia, wtedy tańcowano, bawiąc się ochoczo i po dni kilka.

Pani Zdzisławowa bardzo zacna kobieta, dzieliła w zupełności zasady i uczucia męża swego— lecz zdrowia była tak wątłego, iż najwięcej przebywać musiała w swym pokoju.

Mieli oni dwoje dzieci; 6-letnią Olesię i 9-letniego Karolka, które sami niezmiernie starannie wychowywali, mając do pomocy nauczycielkę i nauczyciela rodaków.

Pan Zdzisław zapamiętał dobrze wydarzenie lat dziecinnych; — często dzieci prowadził do Białej Figury, modląc się za duszę rodziców i zdrowie ukochanej mu żony, o której lękał się życie.

Figura Biała stała na krańcu obszernych włości jego, o kilkanaście kroków była szeroka miedza, odgraniczając pola dworskie od włościańskich.

Tu pierwszem osiedlem z rzędu, była zagroda Błażeja, porządnego i pracowitego gospodarza—lecz mając żonę trwonicielkę, nic się przy niej nie mógł dorobić; mieli także dwóch synów: starszy ulubieniec matki, był też zupełnie do niej podobnym nie biorąc się całkiem do pracy, chodził z nią po jarmarkach, szkody sąsiadom wyrządzając;— młodszy cichy, milczący, pasał bydło tuż koło miedzy dworskiej. — I widziano go często, jak siedział naprzeciw Białej Figury, nie spuszczając z niej oka.

Dziwne to chłopie, w domu nieśmiałe i słowa odezwać się nie umie; a jak wyżenie w pole swoje dwie krówki, jałówkę i dwa baranki, pogłaszcze, pomówi z niemi, zalecając, aby się nie rozchodziły na szkody— bydlęta zdają się rozumieć, trącają go głowami, rozchodząc się spokojnie po pastwisku własnem, którego granice poznawały przez częste nawracanie — a jeżeli je przekroczyły, to przemówione jedno słowo pastuszka, zwracało je posłusznie.

Urządziwszy się z bydełkiem, klękał i modlił się pod Białą Figurą długo i rzewnie. Póżniej usiadłszy naprzeciw niej dumał, lub sam z sobą rozmawiał. Co się tam w tej głowinie odbywało, trudnoby było odgadnąć. Czasem z załzawionem okiem patrzył w niebo godziny całe — to znów rozczerwieniony machał rękami i zrywał się z miejsca, lub bledziuchny składając ręce, wzywał pomocy nieba. Tak był ożywionym w swéj samotności, tak zadowolniony, że truchlał jak słońce południe wskazywało, i trzeba było bydło spędzać do domu.

Tam zaraz na wstępie dostał od brata kułaka, matka gniewnie krzyczała że się opoźnia z przyganianiem— a tu trawa do podoju nie uzbierana i w żarnach mleć potrzeba na wieczerzę. Jaś brał się ochoczo do roboty, ale i ta go nie uchroniła od delegliwych razów, mianowicie braterskich.

Ojciec głaskał go tylko łagodnie z łzą w oku. Chłopczyna tą pieszczotą ojca sowicie nagrodzony, nie czuł tyle docisku, krzątając się według słabych sił swoich.

Tak płynęły dnie biednego Jasia, smutne prawdziwie w czas słotny lub zimowy, kiedy trzeba było w domu pozostać. Wtenczas biedny chłopiec cierpiał katusze, potrącany, popychany, szturchany ustawicznie, nie miał chwili spokoju. Trzeba było do tego pracować ciężko, bo starszy Grześ ubrał się w surdut, i nie chciał wziąść do ręki wiejskiej roboty. Matka lekkomyślna, pobłażała mu we wszystkiem, i cieszyła się, jak Grześ ukochany niósł na procesyi baldachim nad księdzem, ubrany paradnie w szlacheckie sukmie, kupione na tandecie,— lub też jak w gospodzie z dziewczętami wywijał— przepijając ciężko zapracowany grosz przez ojca;—ciesząc się tym nieboga, nie widziała, że sobie grób kopie.

Ojciec bolał, widząc złe— ale nie miał siły stawić oporu upartej i swarliwej kobiecie, pracował za wszystkich, choć czasem go siły opuszczały— gryzł się i wycieńczał— a w końcu dla spokoju milczał.

(D. c. n.)

Korespondencya

TOMASZA ZANA

XIX.

DO ....

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Marya Panna. 1843, września 24, z Dołmatowszczyzny.

List twoj doszedł mię w ten czas, na któryś zamierzył być sobie w stronach tutejszych, dlategom nie odpisywał, aleśmy tu z bratem naszym ciebie oczekiwali. Tymczasem przybył w Nowogrodzkie pan Piszczałło *) i zalecił, abym co rychlej stawił się w Mińsku dla przyjęcia poruczeń tyczących się lustracyi majątków witebskich, gdzie po-

*) Obywatel Miński, inspektor w dobrach skarbowych Piszczałło.

wiada, że niema porządnych urzędników. Ta ostatnia okoliczność była niby najmocniejszą przyczyczyną, dla której mi odmówiono miejsca w mińskiej gubernii. — W niedzielę to jest 26 b. m. da Bóg ztąd odjeżdżam i będę w Mińsku we wtorek, nigdzie nie zajeżdżając. Nierad opuszczam tutejszą stronę, samotność bezpieczną i spokojną, bo z Bogiem. Gdybym posiadał niezależne źródła utrzymania się, wolałbym tu jak jestem pozostać; mógłbym wtedy swobodny czas mój rozdzielić z osobami, które mają zdolność i możność używania go z przyjemnością osobistą i korzyścią powszechną; bylibyśmy podług potrzeby zajęć naszych i zabaw siedzieli i przejeżdżali się po kraju. Insza dopotąd jest wola boża, dla której nie będę mógł rozporządzać według upodobania czasem i miejscem pobytu mojego. Pochwalam wybór pracy, jaką masz chęć przedsięwziąść. Silić się ona powinna wystawić na jaw niewzruszoność bezprzerywną władzy duchownej, miarkując ustawicznie władzę świecką ludzkości, która odrodzona tylko i rozgrzeszona, może się wyswabadzać z więzów czarta, świata i ciała, i postępować i wznosić się do rozumnej chwały i czci Boga, do swobodnej miłości bliźniego, jednem słowem do zbawienia, co jest jej jedynym wyraźnie niewątpliwym celem. Nie mam żadnego doświadczenia w zatrudnieniu około dziejów, ciągle zajęty widokami obecnemi, przecież rozumiem, że dla postrzegacza jak dla badacza tamtych jako i tych, strzedz się należy: zarozumienia, co zwykle zowią systematem, który kusi się nieogarnione zamykać w całkowitym obrazku; omamienia, co zwykle zowią sztuką usiłującą dotwarzać i przetwarzać postacie do potrzeby i upodobania czytającego miejsca i czasu, a co ja zowię nieszczerością gorszą daleko od tępego i leniwego układania nieżywych bytów, podobnie jak układają kości martwe; a wreszcie obojętności i chłodu, co zwykle zowią bezstronnością gorszą od samego marzenia: trzy szkopuły o które zdaje się rozbijać zwyczajnie nowoczesna historya i biografia.

Przez czas mojego teraźniejszego oczekiwania powołania do służby w dobrach skarbowych, zajmowałem się z lubością rozważaniem myśli i uczuć Chrystusa, jako człowieka w dniach osamotnienia się i postu, kiedy się gotował ogłaszać naukę i przykład zbawienia ludzkości. Ztąd uszykowałem potrzeby prawowiernego Chrześcianina, których brak albo zbytek zaspokojenia odrodzonej i ośmielonej ludzkości. Ztąd się utworzył drugi dział potrzeb człowieka stworzonego, któremi przeszłego roku się zajmowałem. Rękopisma moje przeszłoroczne zostawuję tutaj, aby mię nie odrywały od teraźniejszej służby, jak oremburgskie i petersburgskie w Petersburgu, aby mię nie rozrywały w geognozyi. Dla wspomnienia dobrych, niech ci tu zostanie w lichy mój rym ujęta niebieska reguła szczęśliwości człowieczej. Chrystusa nakazanie, w którem się prawowierne życie rozigrawa: a) zubożyć się, b) uciszyć, c) łzami się umywać, d) prawdy łaknąć i pragnąć, e) miłosierdzie czynić, f) mieć serce czyste, g) spokój czuć i nakazywać h) cierpieć za sprawiedliwość, i) skruszać się i winić.

XX.

DO BRYGIDY ŚWIĘTORZECKIEJ.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Marya P. N.— 1843 — Października 15 dnia—Mińsk.

Pobożne słowa twoje doszły duszy mojej. Niemogąc służyć nawzajem sobie w bliższem pożyciu, z boleścią ale szczerze poświęcajmy się na niemniej ścisły obowiązek i świątobliwy, dopomagania sobie w drodze doskonalenia się chrześciańskiego na tym padole płaczu. Spodziewam się, że jakkolwiek daleko rodzdzieleni, wszędzie i zawsze jednozgodnie czuć i myśleć będziemy, gdyż zdaliśmy się całkiem na wolą bożą, która się nam objawiła w stanowczem zdaniu Rodzicy twojej, które uznać i uczcić powinniśmy. Wdzięczen ci byłem, że ta przeciwność najmilszym życzeniom naszym, to niepowodzenie w zamiarach i postanowieniach moich, nie odjęło ci godności i mocy wiary, miłości i nadziei, które w tobie najbardziej ukochałem. Dziękować powinniśmy Panu Bogu, że nas uchrania od szczęśliwości ziemskiej, którаby może była w stanie postawić przegrodę pomiędzy nim a duszą naszą, i prędzej nas nasycić i zniweczyć. Mamy co Mu ofiarować za siebie i swoich z niewyczerpanego źródła smutku i łez, niebieskich darów, tajemniczej serca ludzkiego słodyczy. Strzeżmy się je zapełniać uczuciem i myślą o stworzeniu i życiu, bo ono utworzone na samego tylko Boga,— sam tylko Przedwieczny zapełnić je może. Ja, za pomocą bożą, przywykłem i coraz z większem upodobaniem przywykać będę odejmować się od troski o sobie i powodzeniu osobistem: Ojciec niebieski wie, czego potrzebujemy. Od urodzenia postawiony w ubóstwie, dla niego żyć i umierać w niem godnie, mojem jest przeznaczeniem. W tych ulotnych chwilach, w których Opatrzność raczyła nam dozwolić poznać się i pocieszyć się nawzajem, wyczerpaliśmy wszystkie czcigodne względem siebie obowiązki, których wymagały nasza przyjaźń, i cnota, i pobożność.

Powinnaś siebie uważać, iż zupełnie jesteś co do mnie wywiązaną i wyswobodzoną. Najpiękniej-

szą rolą twoją w dalszem życiu będzie: zaprzeć się całkowicie siebie, co znaczy razem i mnie samego,— a zdać ziemską przyszłość na wolą matki, o ile to nie będzie się przeciwiło chwale bożej i miłości bliźniego. Usiłowanie twoje i postępy w tym trudnym lecz wysokim zawodzie, staną mi pociechą i uspokojeniem. O nie najbardziej proszę Boga.— Jutro wyjeżdżam do Witepska;— czas i miejsce przebywania nie będą zależeć od woli i wyboru mego.— Unikałem pożegnania wszelkiego ze znajomemi naszemi, albowiem nigdy jeszcze uczucia bardziej wzruszonego nie doznałem.— Nie jestem bez przeczucia dni pomyślniejszych;— podobnież i ciebie proszę, nie chciej sobie z umysłu zagradzać widoków na przyszłość. Wreszcie jak ja sam, tak i ty nie troszczmy się o jutrze, gdyż każdy dzień ma dosyć na swej nędzy. — Bogu cię poruczam.

XXI.

DO HELENY MALEWSKIEJ.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Marya Najśw. Panna.— 1845 r.— Witepsk.

Od jesieni, kiedym się z Lepla tu przeniósł na siedzibę, aż do dnia dzisiejszego nie miałem nic nowego dla was. Wzajem też, moje teraz już zbyt jednostajne a prawie zmudne i nudne zajęcia, nie były rozrywane twemi ukochanemi wiadomościami. Nie miałem swobodnej myśli i wczasu swobodnego serdecznego, aby ci podziękować za noworoczne pozdrowienie i wzajemnem odwdzięczyć. Oczekiwałem słoneczka, które tu rzadkiem jest zjawiskiem, aby się natchnąć tak miłem dla mnie podziękowaniem, jak było mi miłe wasze pisanie. Nie nadto bezpieczne zdrowie, niewyczerpane zatrudnienie, w którem sam muszę każdemu ze współpracowników przygotować i kierować robotą i pracą, trzyma mnie odludnie w domu nieraz chłodnym i czadnym. Czas jednak pędem bieży i skarżę się na jego szybkość. Trudu i kłopotu co niemiara, a sporu i skutku nie widać. Guberskiemu, lustratorowi Ptaszyńskiemu moje widoki o urządzeniu gospoparstwa wydały się tak nowe, że je pod swoją obronę przyjąć wzbronił się, a swoich udzielić mu niepodobna temu, który niczem innym nie jestem jak żywym głosem i wyrazem chrześciańskiej miejscowości, którą się przeniknąłem. Pan Piszczałło inspektor unikał wchodzić ze mną w roztrząsanie zagadnień żywotnych, od których rozwiązania zależy pożądany skutek czynności, na obowiązku naszym leżącej. A choć miał u siebie treść danych na miejscu zebranych do ułożenia lustracyj sześciu majątków w Lepelskim powiecie, wolał utyskiwać na mnie, że się ona nie posuwa. Nie czynił mi trudności co do uwolnienia na urlop. Pomocnika mojego awansował na lustratora Nowogrodzkiego i Mińskiego powiatu, jakby na oczywisty dowód, że dla mnie toż samo miejsce, tak położeniu i życzeniu mojemu odpowiedne, gdyby chciał, mógł ofiarować.— Widocznie, że mnie nie życzy i nie chce protegować w tej służbie. Zostałem więc smutny i sam jeden: całą tę zimę obróciwszy na to, jak te wypadki prac moich ubiegłych, których celem było dobro włościan i sprawiedliwy dochód z ziemi jej właścicieli, ich panów ułożyć i uszykować, ażeby znalazły wzgląd u moich naczelników. Nie mając uprzedzeń obywatelskich i bojaźni zuchwałości i obojętności urzędników, żadnych widoków osobistych, rozpatrywałem każde zadanie w swojej prostocie jasnej, wcale nie myśląc i nie wiedząc o tem, że wnioski jego mogą być całe nowe i niesłychane. Nie ziemię rozdaję narodowi gospodarczemu, ale siłę i robotę obecnych stosuję o ile można mądrze i użytecznie do ziemi: i to o tyle, o ile potrzeba dobyć chleba na rok życia i dwa zapasu; reszta siły na zarobotek spławu i przewozu; bo tak Opatrzność chciała, nie dając tej stronie żyzności większej niżli potrzeba, i ledwie 120 dni na rolnictwo.

Gośćmi i rozrywką moją są żebracy różnego wieku i płci. Sieniawin kazał ich z łaski cesarza opatrywać chlebem. Wyzułem się ze wszystkich oszczędności moich, najbardziej, że muszę opłacać różne pomoce pisarskie i rysownicze w pracy mojej.

XXII.

DO BRATA MŁODSZEGO IGNACEGO ZANA.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Marya Najśw. Panna. — Dnia 17 marca 1845 r. — Witepsk.

Powinienem przeprosić naprzód za tak długie nieodpisywanie na list wasz kochany Ignacy. Zajęty byłem niezmiernie, chcąc pospieszyć z ukończeniem robót nadpoczętych roku zeszłego, i od dnia do dnia odkładało się pisanie do was, do których codziennie i bardzo tęsknię. Pracy i kłopotu, oszczędzeń własnych i czasu wyłożyłem co niemiara, a jeszcze zdaje się być odległa pociecha ze skutków tylu roboty. Sam wiele musiałem uczyć się, aby wyrozumieć prawdziwe źródła dochodu poziemnych majątków i wynaleźć środki ku podniesieniu stanu rolniczego, tak oddawna i zawsze nędznego, słabego, głodnego. Mało na tem, trzeba jeszcze i innych w tem przekonywać, któ-

rzy nie zważają zkąd co i jak przychodzi, byleby dziś dostać zkądkolwiekbądź i jakkolwiek. Jakże smutno się przekonywać, że dochody zawołanych gospodarzy, są to cząstki chleba powszedniego wydarte ludziom i pokarmu odjętego bydłu roboczemu, nie są to plony wdzięczne rozsądku, pilności, sprawiedliwości, znajomości, przyrodzenia i trudów, ale łupy zdarte z żywego i martwego, co się tylko zedrzeć daje. Czas, który byłem gotów poświęcić sobie i swoim z woli bożej, zaprzedany został staranidm o zaradzenie tak zadawnionej nędzy, ciemnocie i niedołęztwu rolników ludu, ktory nas żywi. Żadnego nie mam towarzystwa i rozrywki, i nie rzadko tęsknota wnurza się aż do głębi serca. Uważam się na wygnaniu tym bardziej, że z równą korzyścią byłbym odbywał teraźniejszą służbę wśród swoich, gdyby chęć pana Piszczały mogła była uprzedzić moje życzenia.— Zbudowałem się z gorliwości światła i kazań księży Dominikanów tutejszych; równie jak miłe mi były opisy panny Brygidy nabożeństwa, pod przewodnictwem p. Lwowicza w Dołłunowie. Może też modły jej i wasze sprowadzą kiedy ulitowanie na nędzę za grzechy nasze. — Nie piszę do niej, bo prawdę mówiąc, nic tu około siebie nie mam coby ją równie zająć mogło, jak mnie to wszystko, co umieściła w swoich w dzień św. Tomasza, także i w ostatnim liście. — Gdyby łaska boża w przedmiotach teraźniejszego mojego zatrudnienia o włościanach, które mnie wszystkie chwile czasu zabiera, nie położyła osobliwszego powabu, byłbym niezmiernie ciężko znosił niedostatek współczucia i współmyślenia, w jakiem pozostaję od czasu rozstania się z Litwą i Czarną Rusią.

XXIII.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Marya Najświętsrza Panna.— 1845.— Listopada 14 dnia.— Z Lepla.

Zasłużona a bardziej ukochana z Bolciennik skarga na nieczęste pisanie, błąkała się po jesiennem bezdrożu cały miesiąc, nim się przedemną ukazała razem z gwiazdami ze mgły i za chmur, któremi odłączony jestem od cudownych stron Wilna i Mińska, którem zwiedził w ostatnim moim przelocie. Z naszego Nowogródka i Dworca jak wiecie, żydowska bryczka, chłopskie konie i szlachetny Jan, usłużne skrzydła i ster przeniosły mię do rodzinnych i kochanych krain Mołodeczna, Lebiedziewa, Daszczyc, Oborka, gdzie zatrzymałem się widzieć p. Brygidę Swiętorzecką, w której pobożnem sercu najświętsza dobrotliwość, pielęgnuje ku mnie przychylność i przyjaźń, jakiejbym sam sobie nietylko zasłużyć nie podołał, ale i życzyćbym nie śmiał i wyobrazić nie umiał. Posadziliśmy 15 krzaków róży, którem dostał w darze od p. Piszałłowej, w zamian za książeczkę „Słowa Bożego“; na ustawiczną pamięć cnót, pokory, usłużności, ubóstwa, posłuszeństwa, świątobliwości, skruchy, cierpliwości, umartwienia miłości własnej, znoszenia przykrości stanu, miłości ku Chrystusowi i Maryi, nawrócenia się prawdziwego, pragnienia nieba, skromności ducha i czystości, gotowości na śmierć, i nakoniec skuteczności nabożeństwa zalecanego w różanym wianku, do którego miałem szczęście być policzonym przez pobożne rady Dominikanek w Nowogródku.

Czcigodnej pani Balińskiej pamiątkę świątobliwą ustąpiłem p. Brygidzie, bo innej droższej i lepszej nie miałem; napowrót jadąc w Witepskie wstąpiłem do jej rodzicy, w pragnieniu okazania jej czci i tego najmocniejszego przekonania, że dla dzieci wyraźna wola boża objawia się w rodzicach, równie jak przez nich spływa ku nam jej Opatrzne błogosławieństwo życia na tym świecie, ba nawet i na tamtym. Teraz się modlimy tylko o to, ażeby w życiu i zgonie naszym działa się nie czyja i nie nasza, ale sama tylko wola Boża. Opuściłem po imieniu Maryi wasz kraj, i znowu chcąc nie chcąc powrócić mi trzeba było na Białoruskie a ledwie co nierozsiejski: niby bocian z utęsknieniem wyglądając w oblatywaniu, ażali jaki pobożny i poczciwy gospodarz chrześciański nie zaciągnął na jaki słup, czy drzewo, czy komin domku ubożuchnego, jakiego nieużytecznego koliska lub brony, gdzieby mógł przysiądź, odpocząć, ułożyć gniazdko, i klekotaniem długonosym zwiastowywać wiosnę, błogosławieństwo i żywić się żabami i wężami i gadem, które wydają błociska.

XXIV.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Marya Najśw. Panna.— 1846.— Styczeń.— Z Lepla.

Omijam zwykłe powinszowanie i życzenie z powodu Nowego roku, gdyż w naszej przyjaźni, jakoś niema rozmiarowego czasu i miejsca ograniczonego. Modlę się często ł szczerze i nie odłączam się od kochanych i kochających, ani kiedy rozstaniu się z nimi wierzę. Żyję jak tam chcesz sobie wystaw i wyraź, z przodkami i potomkami moiemi, wśród przyjaciół, ziomków i bliźnich moich wszędzie i zawsze, wiarą w przeszłości, nadzieją na przyszłość ustaw iczn,iłąością mw cza-

sie obecnym. Stan ten przedziwny i miły winienem i nie trudno mi wyznać, pobożności p. Brygidy, który z nią podzielając, doznaję cudów w zdrowiu, w uczuciach, w umyśle wpływu łaski Najśw. Panny, tajemnic radości i boleści, znaczenia słów twórczych, zbawczych, rajczych. — Pragnę i mam nadzieję cieszyć się jeszcze po wytrwaniu wszystkich doświadczeń, widokiem rodzin i osób, szczerze, zupełnie i otwarcie chrześciańskich. Nie mam też siły wyłączać się od nich; znajdziesz mię dotąd, choć już pół wieku przeżyłem, wśród dziewic i dzieci tulących się i otulolonym przez nie.

Za powrotem zająłem się znowu lustracyą. — Mgły i wilgocie jesiennych podróży, niewygody popasów i noclegów, sprowadziły różne dolegliwości; przecież nie tracę nadziei stawienia włościan moich na czynsz.

(D. n.)

MISTYFIKACYA

sceny z życia studenckiego.

Co pan stąpasz dziś tak poważnie i powoli? zawołała z oburzeniem półwiekowa przeszło panna Teresa M. do liczącego już także na kopy lata życia, a zatem i doświadczeń jego — a w tej chwili prowadzącego ją z atencyą pod ramie pana konsyliarza-emeryta W., wśród tłumu spacerujacych po Piaskowej Górze, przy odgłosie wojskowej kapeli i obłoków kurzu, od goniących do koła pojazdów.

Konsyliarz-emeryt na to najmniej spodziewane napomnienie, spojrzał zdziwiony na swą towarzyszkę, i nie dawszy żadnej odpowiedzi, podwoił swoję dla niej atencyę; sympatya jednakże a może respekt raczej dla niej, w jego konsyliarskiem sercu, ulotnił się o dwa grany;—lecz tu potrzeba opowiedzieć czytelnikowi źródło i zawiązek tych sympatyj, mówię *tych* sympatyj bo ich się złożyło wiele, bardzo wiele, a z tego zbioru czyli omalgamentu sympatycznego powstała dopiero wysoka wzajemna estyma. — Najprzód poznanie ich było następujące: po raz pierwszy w życiu ujrzeli oni się na proszonym wieczorze u pewnego dygnitarza, podobnoś strażnika skarbów koronnych na księżycu, gdzie przeznaczenie posadziło ich przy wieczerzy obok siebie. Z początku milczeli oboje poważnie, wreszcie konsyliarz-emeryt czując aż nadto, że przepisy salonowe nie dozwalały milczeć już dłużej siedzącemu obok dystyngowanej damy, nim przemówił jednakże, chciał zaczerpnąć jeszcze animuszu w nieocenionej skarbnicy w swej złotej tabakierce; — lecz jakże przykre było jego położenie, gdy otworzywszy ją, dwa długie cieniuchne jego palce sięgające zręcznie po prizę, namacały dno jej próżniuteńkie! nieborak wybierając się na wieczór, zajęty zbytnie elegancyą swej toalety, zapomniał napełnić wypróżnioną tabakierkę, przygotowaną na ten cel zapiżmowaną albanką. Panna Teresa pojmując przykrość takiego położenia w całej rozciągłości; podała mu z milczącą uprzejmością swą małą szyldkretową tabakierkę, opatrzoną przez oboje w dostateczny zapas ulubionej konfortatywy. — Pan konsyliarz przyjął i ocenił jej znajomość świata z całą wdzięcznością — i odtąd zawiązała się pomiędzy niemi zajmująca i nader ożywiona rozmowa, wśród której wzajemne w duszy uwagi, podniecały coraz wzajemną sympatyę; i tak pan konsyliarz miał na wierzchu głowy, panna Teresa na wierzchu czoła perużkę, jednego wypadkiem płowo-bląd koloru. — Panna Teresa tytułowała go w rozmowie: „Mości radco dobrodzieju“— on ją: „Mościa dobrodziejko.—Pan konsyliarz i panna Teresa, mieli oboje nie paryzkie nakształt pazurków kocich, lecz okrągło obcięte paznokcie, ale świecące i najstaranniej wyszczotkowane. Panna Teresa miała zwyczaj wspominać w rozmowie co kilka słów: pan kasztelan przemyślski mój pradziad — pan konsyliarz liczący się do arystokracyi biórowej miał zwyczaj powtarzać co chwila: pan prezes apelacyjny mój dziadek. — W końcu zaś gdy liczni goście ruszyli od wieczerzy, a pan konsyliarz podał z uprzejmą etykietą pannie Teresie swe ramie, i chód ich drobny a poważny tak się nadał i zgodził, jak dwie krople wody—panna Teresa pomyślała w duchu: i on nieboraczek podobnie jak ja cierpieć musi na nogi, nie byłoby jednak większej w życiu przyjemności, jak idąc na Piaskową Górę lub przechadzając się po wałach, być przez niego prowadzoną.

Czy pan konsyliarz pomyślał to samo? nie można przypuszczać z pewnością; bo czując się nie zbyt pewnym w nogach, potrzebował może silniejszej i młodszej podpory. Wreszcie czuł i to, choć nie wyznał nigdy przed nikim, że w wieku jego jakoś więcej dodaje życia patrzeć na świeżą twarzyczkę, błyszczące oko i świecące czarne sploty, niż na martwą i spłowiałą choćby najsymetryczniej ułożoną perużkę — to też zapewne z rozporządzenia lekarza, o jego czerstwe i długie życie, w dnie debitu najmłodszych aktorek, pan konsyliarz brał krzesło w pierwszym rzędzie, nie zważając i na to, że słuch jego niezbyt już mocny, tępiły jeszcze tuż przed nim chrapiące wrzaskliwe trąby, a niekiedy w uniesieniu młodzieńczem dla sztuki, szkła jego zapuszczały się i za kulisy. Pan konsyliarz-emeryt, lubił opiekować się temi

młodemi opuszczonemi istotami, — pannę Teresę zaś ile razy spotkał na przechadzce, miał sobie za obowiązek światowej etykiety, ofiarować jej swe ramie.

Otóż i tym razem wodząc ją po plantacyach Piaskowej Góry drobniuchnym i powolnym krokiem, w którym to zawsze tak harmonijnie zgadzać się zwykli, obok tego przywykły do cichego i poważnego tonu, z jakim panna Teresa prowadziła każdą rozmowę i każde wygłaszała słowo— zdziwił się niepomału i przeląkł nawet mimowoli, na to niespodziane z jej ust surowe napomnienie, i oglądając się do koła, gotów był uwierzyć, że głos ten wyszedł raczej z korpusu jakiegoś idącego obok brzuchomowcy— gdyby nie ten wypadek, że panna Teresa szarpnąwszy go zbyt niedelikatnie za ramie, jakby zniecierpliwiona lub opętana raptem, przyspieszając sama kroku, pociągnęła go za sobą na przeciwną stronę alei, gdzie przed niemi szła sobie jakaś młoda bardzo para, rozmawiając wesoło i żartobliwie.

Spiesz się pan mości konsyliarzu dobrodzieju! zawołała powtórnie, i zdyszana usiłowała koniecznie minąć młodą parę—a mijając, odwróciła ku niej głowę i tak ostro i z niepokojem spojrzała w oczy młodemu mężczyźnie, a z tak widoczną pogardą w zachwycające pięknością oblicze jego towarzyszki, że pan konsyliarz-emeryt widząc to jej niepohamowane wzruszenie, osłupiał z podziwu i jak wryty pozostał na miejscu — z jednej bowiem strony powstało w nim to najmocniejsze przekonanie, że panna Teresa do szaleństwa rozmiłowaną być musi w tym młodzieńcu,— w czarującej zaś tamtego towarzyszce poznał on młodą dziewicę, która napotkana już poprzednio przez niego sam na sam na spacerze, tak go oczarowała, że już od dwóch tygodni z krzywdą swych nóg podeszłych śledził za nią skrycie jak młodzik po wszystkich nietylko bliższych lecz i najoddaleńszych nawet spacerach stolicy, ale niestety! napróżno — bo zwodnicza sylfida oczarowawszy go przy tem pierwszem spotkaniu, swem miękkiem i wymownem wejrzeniem, czy wyjechała, czy się też ukryła gdzieś bez śladu przed jego pogonią natarczywą.

Młoda para mijając stojących w miejscu staruszków, ukłoniła się im z uszanowaniem i uprzejmym uśmiechem; pan konsyliarz-emeryt zerwał swój cylinder z głowy z rozpaczą tajonej zazdrości, zapomniawszy nawet w zachowaniu ostrożności, żeby nie zbakierować swej peruźki na widok swej bogini prowadzonej poufale przez młodzika, panna Teresa zaś kryjąc swe oburzenie za szkłami olbrzymiej lorynety, skinęła im zaledwo dumnie głową, mrucząc pod nosem: a to efronterya! gotów mi ją tu jeszcze zaprezentować! uchodźmy, uchodźmy, mości konsyliarzu dobrodzieju! i popychając dosyć niegrzecznie przed sobą jakby wrosłego w ziemię konsyliarza, poczęła biegnąć w przeciwną stronę tej, którą poszła młoda para; a dobiwszy szczęśliwie do wolnej ławeczki, rzuciła się nań, pociągnąwszy za sobą konsyliarską maryonetę, który uradowany tem niespodziewanem zakomenderowaniem *do spoczynku*, usiadłszy zdjął spiesznie kapelusz, ocierając kolorową chustką krople potu obficie z czoła i skroni jego spływające — a przytem mógł też i swobodniej niepostrzeżenie przez swą towarzyszkę, wysyłać tęskne wejrzenia za niknącą w dali romantyczną parą.

Przez czas dosyć długi trwało poważne milczenie, przerwane tylko klaśnięciem zderzających się tabakierek, które zamyśleni państwo jednem wiedzeni natchnieniem, ofiarowali sobie wzajemnie— pan konsyliarz-emeryt zmęczony, odetchnął głośno po kilkakroć; panna Teresa oburzona w wysokim stopniu, potrzebowała się wysapać— dopiero po zażyciu obfitej prizy, jedno i drugie przyszli powoli do siebie, a panna Teresa ułagodzona zapytała spokojniejszym już tonem: „I cóż pan na to, mości konsyliarzu dobrodzieju?..

— Ja mościa dobrodziejko? odrzekł krząkając z pomięszania, jej towarzysz—ja nic na to, mościa dobrodziejko.

— Jakto? — pan nic na to, mości konsyliarzu dobrodzieju? Pan nic na to? możeż być, żeby człowiek tak szanowny, tak porządny, nie obruszył się na widok gołobrodego młodzika, który śmie przechodzić się publicznie i z uśmiechem na twarzy, z kobietą bez czci i wiary?.. to prawdziwa Sodoma i Gomora!

— Ależ bo ja nie wiem mościa dobrodziejko, odrzekł pan W. kręcąc się na ławce, czy to jest panienka złej wiary — co zaś do tego młodzika, cóż ten ma mnie obchodzić — ja nie znam go wcale....

— Ale ja znam go dobrze, mnie obchodzi los jego— i nie dozwolę, ażeby niegodna lekkomyślnica psuła karyerę i niszczyła całą przyszłość jego! odrzekła z uniesieniem prawie szesnastoletniej dziewicy panna Teresa, utwierdzając milczące podejrzenie w duszy pana konsyliarza-emeryta, że jest po uszy zakochaną w młodziku — a ta odkryta w niej niespodzianie słaba strona, której nawet nie starała się czy nie była w stanie ukryć; ośmieliła go do powierzenia jej podobnież tajemnej sympatyi dla tej młodej czarownicy, i zachęcenia jej do ułożenia planu wspólnych usiłowań i pracy, nad rozłączeniem młodej pary dla dobra ludzkości i moralnego szczęścia ich samych.

Przed wniesieniem jednakże tej sprawy dla upewnienia się w natchnieniu i wymowie, uciekł się

właśnie do swej tabakierki, gdy w natłoku spacerujących ta niegodziwa para ukazała się znowu wychodząc z poza kląbu krzewów, i znowu przesunęła się powoli po przed siedzącemi z tym samym uśmiechem, wyzywającem wejrzeniem i ukłonami jak poprzednio. Tu już panna Teresa uchwyciła się za serce, czując się blizką mdłości — a szanowny jej towarzysz poniósł także dłoń swoję do lewego boku, nie mogąc znieść obojętnie czułego wejrzenia, jakiem nieznana piękność obdarzyła go skrycie w przechodzie, jakby nieszczęśliwa i prześladowana, wzywała wyraźnie jego opieki.

Młoda para zniknęła znowu wśród gajów i kląbów, a panna Teresa niechcąc być narażoną powtórnie na podobną przykrość, którą afrontem być mieniła, oświadczyła, ze zamyśla wrócić do domu. Pan konsyliarz ofiarował się uprzejmie, że ją odprowadzi— w gruncie jednak, byłby wolał pozostać i śledzić niepostrzeżony, choć z daleka swą sylfidę, której liczka różowe i przeszywające wejrzenie tak mu prześwidrowały na wskroś nadpruchniałe już wiekiem serce, i dały mu czuć z wszelką pewnością, iż ten cierń acz różany, będzie już tkwił w nim aż do grobu.

Pochód ku domowi odbył się milcząco prawie ze stron obu— dopiero wchodząc na schody, gdy konsyliarz zamierzał pożegnać pannę Teresę, ona zatrzymała go prosząc uprzejmie, aby wstąpił do niej na chwilkę. On lubo wolałby był powrócić jeszcze na szkarpy, w nadziei spotkania może tej dziwnej młodej pary wracającej do miasta — ale odmówić prośbie tak usilnej, byłoby rubaszną niegrzecznością; — a więc z milczącym ukłonem począł windować się wraz z uprzejmą gospodynią na schody pierwszego piętra. — Na wstępie do pokojów, nie powitało ich ani piesków szczekanie, ani miauczenie kotka, bo te kómórki które zwykle w sercu osób bezdzietnych zajmują te fawo-rytki ze szkodą ludzkości, zapełnił ktoś godniejszy zapewne.

— Moje zajęcie się tym młodym człowiekiem, rzekła wreszcie panna Teresa wprowadzając gościa do swego saloniku, musi się panu dziwnem wydawać, nieprawdaż? mości radco dobrodzieju?..

— Dziwne i niedziwne... odrzekł konsyliarz-emeryt z dwuznacznym nieco uśmiechem, bo wiedział z własnego doświadczenia, że serce a zwłaszcza u ludzi żyjących w większym świecie, nie starzeje się wcale.

— Jest to moja tajemnica, którą później panu odkryję — a teraz racz pan spocząć i sam zabawić się przez chwilkę, ja tymczasem napiszę bilecik, rzekła uprzejmie, wskazując mu aksamitną kanapkę, niegdyś karmazynowej a dziś w orzech ciemny zamienionej przez czas barwy — kształt zaś jej i galonki do koła szczerozłote przyciemniałe dowodziły, że jeżeli nie starsza, to równa przynajmniej wiekiem być musi właścicielce.

— Uważam że to tajemnica... odrzekł konsyliarz, siadając z jednym zawsze uśmiechem — dlań bowiem, tajemnice podobne nie były wcale nowością— zawsze jednakże ta, na którą patrzył właśnie, mimowolną w duszy jego obudziła ciekawość, czy to wzruszenie tej poważnej osoby, na widok tego młodzieńca, było uczuciem kochanki czy może miłością matki?..

—Może pan zechcesz zabawić się przesuwaniem szkiełka, układaniem figur lub pasiansem, zagadnęła znów uprzejmie panna Teresa, kładąc przed nim na stoliku machoniowym mały kalejdoskop, pudełko z kastetami i dwie talie kart francuzkich; sama zaś nie zdejmując nawet kapelusza, zasiadła przy biórku, i zasadziwszy okulary odcięła ćwiartkę z rygałowego arkusza, bo listowego welinu w ćwiartkach nie kupowała nigdy, wyrachowawszy, że ten o wiele drożej wynosi, niż w arkuszach kupowany—a więc namozoliwszy się nie mało nad oberznięciem równo brzegów, medytowała przez chwilę, wreszcie podłożywszy rygi ażeby nie skrzywić wiersza, wzięła się do pisania.

Konsyliarz - emeryt ułożył już wszystkie siedm figur kastetowych, ziewnął po trzykroć ukradkiem, wreszcie wziął karty w rękę zamyślając próbować i pasiansu, gdy panna Teresa stanęła przed nim z zapieczętowanym już bilecikiem, mówiąc: ten młody człowiek Alfred Indykowicz...

— Alfred Indykowicz?...

— Zabawnie brzmi to imie eleganckie z tem nazwiskiem pospolitem w parze—nieprawdaż mości radco dobrodzieju?..

— Ha! zapewne, mościa dobrodziejko... Indykowicz... Indykowicz...

— Ja wymawiając go, widzę razem już folwark lub mieszkanie ekonomskie lub prowentowego pisarza, ze stadem piszczących przed oknami głodnych indycząt — czemu już nie Gosiewski, Gołębiowski, Kaczkowski a nawet Gąsiorowski, lepiejby brzmiało niezawodnie, niżeli ten nieszczęsny Indykowicz!

— Ba!.. Gąsiewscy, to wysoki był ród swego czasu— hetmani, dygnitarze koronni;— Gołębiowski, Kaczkowski, znani w literaturze... Indykowicz! hm... Indykowicz— ale mościa dobrodziejko literę zmienić środkową *k* na *g* i zaraz będzie lepiej brzmiało: *Indygowicz* niby coś zagranicznego trochę...

— Indygowicz?... a cóż tu może być zagranicznego?... odrzekła panna Teresa wzruszając ramionami.

— No, od Indygo — a Indygo (ile sobie przypominam jak nas w szkole uczono jeografii) w je-

dnych z pieprzem rośnie krainach w Afryce, w Azyi południowej.

— To niech będzie Indygowicz— zawołała pocieszona widocznie tym konceptem radcy-emeryta panna Teresa—zapewne, że to brzmi o wiele lepiej— ale zaraz, muszę więc i w liście przerobić; i złamawszy pieczątkę, pobiegła do biórka i czemprędzej literę k przeistoczyła na g.

Konsyliarz-emeryt zaś złorzecząc w duszy sam sobie, że tym pomysłem przedłużył jeszcze zajęcie panny Teresy, przez co i pożegnanie ich się odwlekło— rozmawiał dalej niby sam do siebie: Indykowicz — któż jego rodzi? to rzecz ciekawa istotnie — Indykowicz — Ha! zawczasu oswajać nam się trzeba z podobnemi dysonansami; przy teraźniejszej bowiem równości praw, pełno chłopskich synów wciska się na urzęda — nie kontenci byli z Eisenfelsów, Redlingerów i t. p., to teraz mieć będą piękniejsze, naprzykład: Pan konsyliarz Liszka, pan dyrektor Batóg, prezes Stonoga— ha, ha, ha!— nie doskonałeż to, mościa dobrodziejko?..

— Jak, jak? — zapytała, nadbiegając panna Teresa — Liszka, Batóg, Stonoga? zapewne, że to zabawne nazwiska obok tytułów — ale przynajmniej łatwiejsze do wymówienia dla nas, niż tam te wasze: Asenfelsy, Hunhasenfusy, Gedrängery!—i stojąc z gotowym już liścikiem złożywszy ręce przed konsyliarzem: zrób mi pan jednę łaskę, błagała czule— mości radco dobrodzieju!

— Wolno pani rozkazać, mościa dobrodziejko, odpowiedział z ukłonem konsyliarz-emeryt powstając z kanapki, i biorąc kapelusz i laskę w dowód wszelkiej gotowości,— a w duszy uszczęśliwiony, że jeszcze czas będzie może zawrócić ku górze Zamkowej.

— Chciej pan pofatygować się osobiście jutro z rana sam, i wręczyć ten list według podpisu.. a przytem i z swej strony wstawić się za tym zgubionym lekkomyślnikiem Alfredem...

Konsyliarz-emeryt odebrawszy list końcami dwu palców, przeczytał głośno następujący adres: Wielmożny Dudziński, profesor 5tej klasy gimn. doktor filozofii i t. d., ulica Jezuicka pod L...... ale cóż mam powiedzieć mu jeszcze z mej strony mościa dobrodziejko?

— Otóż ten lekkomyślnik Alfred, jako ukończony gimnazyalista i nie bez wyższych zdolności wcale, zdawał w tych dniach ów jakiś tam *egzamen dojrzałości* — ale mu się nie powiodło; bo ten pan Dudziński profesor, co właśnie najgłówniejszą ma w tym rolę, pogniewał się na niego; spotkawszy go kilka razy na miejscach publicznej przechadzki, prowadzącego się podobnie jak dziś z tą niegodziwą kreaturą— i za niemoralność odmówił mu promocyi...

— Więc ja wstawić się mam oczywiście, żeby mu poprawić było wolno?... Hm... nie tak to łatwo będzie — ale zobaczymy... mościa dobrodziejko, o rezultacie zdam sprawę— i pożegnawszy dygającą potrzykroć na progu jeszcze pannę Teresę, konsyliarz emeryt sztukając wprzód laską przed każdem stąpieniem, ażeby nie ominął schodu, stoczył się wreszcie na dół, nucąc pod nosem i w tem przekonaniu, że biegnie jak młodzik.

(D. n.)

Z zapisków J. R.

młodego Krakowianina, ustępy o wojnie włoskiej 1859 r. niewoli we Francyi, i legionie cudzoziemskim w Algierze.

(Ciąg dalszy).

Obóz pod Milah i Tafetas w Kabylii 27 maja 1861.

Już temu miesiąc jak mój pułk opuścił Konstantynę. W naszej prowincyi organizuje się mała ekspedycya przeciwko Kabylom, którzy są najtwardszymi nieprzyjaciołmi cywilizacyi i za nic w świecie nie chcą słuchać, że są pod władzą Francuzów, i ile razy Francya ma do czynienia w Europie, Kabyl się buntuje. Silny to naród— to Czerkies afrykański— wojna jest tu trudną, i pierwszą rzeczą jest przygotować sobie drogi i gościńce, które w tym dzikim kraju są prawie nieznane. Otóż 30 kwietnia opuściliśmy Konstantynę; ażeby rozpocząć roboty około gościńca. — W tej chwili kolumna nasza obozuje pod Milah, u stóp gór Kabylii 10,000 ludzi razem, a jutro 28 maja rozpoczniemy nasze operacye w górach.

Mimo niezdrowego klimatu Afryki, mimo chorób i fatyg nic mi nie brakuje, czasami tylko gorąca dochodzą tu do 45 stopni, a te czynią mnie otrętwiałym, inaczej powiedziawszy, od godziny 10 rano do 4 wieczór niepodobna zajmować się czemkolwiek—siedząc, stojąc lub leżąc— pot cieknie kroplami z całego ciała, a to dopiero początek, bo później w lipcu gorąca dochodzą do 60 i 65 stopni.

Opuściliśmy Milah w drugi dzień Zielonych Świąt t. j. 28 maja w kierunku północno-zachodnim.

Kolumna złożona z 10,000 piechoty i kawaleryi, 2 bateryj artyleryi noszonej na mułach, 4000 mułów arabskich transportujących żywność i amunicyą— dalej ambulanse, żandarmerya, inżynierya z toporami, administracya, bióra, araby i spahis, wszystko pod dowództwem jenerała Desvaux, rozpoczęło marsz w góry Kabylii.

Drugiego dnia stanęliśmy w Fedi Beinen, gdzie podług doniesień szpiegów, nieprzyjaciel nas oczekiwał, ale cofnął się bez oporu. 30 maja zajęliśmy Fedi el arba, pozycyą nadzwyczaj trudną do wzięcia, i ważną dla Francuzów pod względem strategicznym, jak niemniej dla kolonii, ponieważ tędy jest projektowana droga, stanowiąca komunikacyą z portami i miasteczkami czyli raczej oazami Sahary. Nadzieje spotkania się z wrogiem zdawały się być zawiedzione, gdyż już drugiego dnia naszego pobytu w Fedi el arba, tysiące Kabylów którycheśmy przedtem nigdzie nie widzieli, zaczęły zwolna wychodzić z lasów i wąwozów, wysyłając poselstwo do jenerała z zapytaniem, czego on żąda? Poselstwo odeszło, zanosząc odpowiedź Kaidom (naczelnikom familij,) i po kilku dniach namysłu przychodziły tribus po tribus, a na czele Kaid w czerwonym płaszczu, przynosząc prezenta składające się z owiec, daktylów i kuskus (kuskus jest jedyną potrawą, którą mieszkańcy Algeryi się żywią) wypłacając zaległe haracze. Tak przepędziliśmy kilka dni jedząc baraninę, pieczeń i kuskus, i pracując z łopatą nad nowym gościńcem; aż jednego dnia spokojność nasza przerwaną została niespodzianie. Dnia 12 czerwca koło 9 godziny gdy ognie już zagasły, i anioł snu pod swoje wziął nas był skrzydła, — usłyszano kilka strzałów na naszych przednich czatach; następnego dnia w chwili, gdy nasze muły i konie wychodziły na paszę, ujrzano grupy Kabylów uzbrojonych, gotujących się do obrony pól swoich. Był to tribus, znany pod nazwiskiem Beni Khettab, i zawsze najuporczywszy nieprzyjaciel swych najezdców.

Beni Khettab wezwani do poddania się, oświadczyli przez swych posłów, że są wolnemi panami swych gór i nie chcą uznać władzy niewiernych Rumi (Rumi znaczą ci wszyscy, co piją wino i jedzą wieprzowinę wbrew zakazu proroka). W skutek tego oświadczenia, zwinięto obóz; i kolumna wyruszyła ku północy, a 14 czerwca rozpoczęliśmy nasze podboje z ogniem i mieczem.

Dziwna to wojna! szczególny sposób rozszerzania cywilizacyi. Opiszę tedy jak się to dzieje: Gdy tribus się zbuntuje, wszystko się uzbraja i i wychodzi na szczyty gór, ażeby bronić przystępu Francuzom. Starcy, kobiety, dzieci, bydło i wszystkie bogactwa, zostają ukryte w lasach i wąwozach nieprzystępnych.—Następnie Francuzi starają się zacząć mały bój, w przeciągu którego część armii uzbrojonych w siekiery, zapałki i kosy schodzi w doliny, zapala namioty, wycina drzewa oliwne, jedyne bogactwo Kabyla, i kosi niedojrzałą pszenicę, uprowadzając owce bydło, muły i wszystko co pod rękę popadnie; podtenczas zdesperowany góral, nie mając jak tylko długą strzelbę i nóż, broni swej posiadłości — a zasadziwszy się w miejscu, zkąd go ani kule ani ogień nie potrafią wyruszyć, posela niewidziany strzał po strzale — którego każda kula trafia jednego Francuza, i to się dzieje z najzimniejszą krwią. Dopiero po założeniu takiego fundamentu cywilizacyi w popiele i gruzach, gdy ukończywszy swoje dzieło, zabiera się zmęczona swoją pracą kolumna do odwrotu, wtenczas na wszystkich punktach, często w miejscu, gdzie się było stało, z za kamienia, z pod krzaka pokazuje się głowa w kapturze białego burnusa, oko połyskujące ogniem tygrysa, nóż w zębach, strzelba w ręku—z wszech stron wznosi się straszny i przeraźliwy okrzyk, któremu wtóruje często głos i śpiew kobiet, co wzorem dawnych Rzymianek zachęcają swych mężów i synów do zemsty, i wtenczas zaczyna się taniec; bo Kabyl tylko wtedy się bije, jak Francuz jest w odwrocie, i dlatego tu w Afryce, największa robota jest, będąc w ariergardzie, bo nietylko że trzeba atakować nieprzyjaciela i bronić siebie samego, ale nadto unosić wszystkich co zabici albo ranieni w tyle zostają. To pewien punkt honoru dla komendanta ariergardy być ostatnim w odwrocie. Biada temu, który wpadnie w ręce nieprzyjaciela, bo Kabyl żywemu lub umarłemu na miejscu głowę, jako znak chwały, odcina— a częściej jeszcze, ażeby nasycić się zemstą, niewolnicy zostają oddani w ręce kobiet i dzieci, i tam śmierć ich okropna czeka. Jednego dnia, prześladując nieprzyjaciela, znaleźliśmy ciało człowieka przywiązane do pala — nogi ucięte w kolanach, paznokcie u rąk oddzielone od ciała za pomocą małych szpilek z drzewa, język wyrwany, nos ucięty, oczy wyłupione— a w koło ślady popiołu tlejącego jeszcze, i spieczona powierzchnia ciała, naprowadziły nas na domysł, że ten nieszczęśliwy skończył w męczarniach wolnego ognia. Dotąd Kabyle wzięli nam dwóch niewolników żywo, i to z ich własnej winy.

Okrucieństwo Kabylów do tego dochodzi stopnia, że często wygrzebują z ziemi naszych zabitych, i oddają ich w ręce swych kobiet i dzieci. Dlatego poległych chowają Francuzi starannie bez najmniejszego śladu ich grobu.

Dnia 14 czerwca trafiliśmy na nieprzyjaciela. Mój batalion był w awangardzie. Ogień trwał dzień cały, lecz tylko strzał po strzale, bo jakem powiedział, Kabyl tylko na pewne strzela. Lecz dnia następnego, z przodu, z tyłu, z boku— wszędzie nieprzyjaciel, a niewidzialny. Około południa wzięto szczyt zwany Tafitas, gdzie jeszcze nigdy Francuzi nie byli, 1400 metrów nad powierzchnią morza — i tu urządzono naszą główną kwaterę w pośrodku posiadłości Beni Khettab. Nasz marsz trwał od 5 rano do 2 w nocy, w czasie którego

znaczna część naszych mułów utrudzonych zmyliwszy krok na niebezpiecznych chodnikach, potoczyła się w głębie wąwozów, na pastwę szakali i hyen.

Ztąd dominujemy całą okolicę — cudne góry! zdala w północy widać morze na krańcu horyzontu, u stóp naszych—doliny złotą okryte pszenicą, których łany poprzeplatane gajami drzew oliwnych, kołyszą się poruszane lekkim powiewem wieczornego wiatru, a w koło na wzgórzach połyskują w promieniach palącego słońca długie flinty Kabylów obserwujących poruszenia obozu. My zaś wychodzimy co rano o 2 godzinie w doliny, ażeby nieść iskrę zniszczenia w ciche niegdyś siedziby ubogich familij. Co dzień dym pożaru zaciemnia słońce, co dzień krew zwilża spieszczoną ziemię. W jednej z takich wycieczek, z trzema ludźmi w głębi wąwozu szukając źródła wody, natrafiłem na kryjówkę mieszczącą kilka owiec i kóz, worek pełen kuskus, i kilka przedmiotów mało znaczących, a jednak drogich dla biednego żołnierza.— W pośrodku tego wszystkiego—kobieta w podeszłym wieku, z siwym włosem, mając przy boku dwoje nagich przelękłych dzieci, rzuca się przedemną na kolana, i wznosząc ręce ku niebu a potem wskazując na serce, okiem błagała litości. Pojąłem ten gest, myśląc o moich, i o moim także domu, lecz czytając w oczach żołdaków żądanie nasycenia chciwości, musiałem pozwolić, że wybrano dwie owce, które im za powrotem do obozu dobrze smakowały, bo i w rzeczy samej, ci ludzie pracują tu niezmiernie, a żyją prawie tak źle jak Moskale. Żołd tutaj jest 1 sous na dzień, dwa razy zupa, 200 gramów mięsa i chleb albo suchary. Oprócz tego w kampanii 19 gramów cukru i 21 kawy. Często jak czas nie pozwala gotować zupy, żołnierz goni cały dzień po górach ze swoją racyą czarnej kawy i kawałkiem suchara; tylko oficerowie żyją bez porównania lepiej, a może nawet lepiej jak w każdej innej armii, bo Francuz jest znany ze swego delikatnego gustu. Jak sobie przypominam, we Włoszech oficerowie austryaccy z apetytem spoglądali na kociołek żołnierza, tu zaś przeciwnie, Francuz je dwa razy na dzień, rano o 9 śniadanie, i o 6 popołudniu obiad, a jeżeli nie miał najmniej 2ch albo 3ch potraw oprócz rosołu, desertu i wina, to sznurując buzię, powiada: „mizerny stół“ zaś w garnizonie, to już prawdziwy lux;— to też zazwyczaj dwie trzecie żołdu oficerów zostaje w hotelu i kawiarni.

Co się mnie tyczy, żyję z dwoma kolegami — z tych pierwszy Buat podporucznik rodem z Szampanii, wyszedł on ze szkoły wojskowej w St. Cyr, drugi jest porucznikiem, nazwiskiem Burchard z Rostoku w Meklemburgu, jest on Niemiec czystej krwi, syn jenerała; służył w pruskiej armii, i podobnie jak ja, wszedł w służbę Francyi. Wyśmienite to chłopcy, szczególnie ten ostatni; dość się lubimy, i ile razy dostaje on list od swojej familii, jego matka i siostry zawsze załączają do mnie kilka uprzejmych wyrazów i ukłony.

Po skwarnych upałach lata, które wszystko w popiół obróciły, natura nowym się wdziękiem okrywa; wszystko się zieleni — i większa część flory tutejszej zakwita. Druga to wiosna można powiedzieć, w czasie której Arab korzystając z wilgoci mgły i rosy, sieje co żywo pszenicę i jęczmień — jedyne gatunki, które uprawia powszechnie. Jednak pierwszy deszcz staje się deszczem trwającym przez trzy miesiące — w postaci wody albo śniegu.

W miesiącu grudniu żyć pod namiotem, w okolicy prawie bezludnej— płaskiej jak nasze błonie pod Krakowem, bez śladu lasów albo krzewów— gdzie żołnierz z mozołem zbiera suche osty i inne zielska, które mu miejsce drzewa dla ugotowania zupy zastępują;—żyć w tej stronie które jest początkiem pustyni Sahary, gdzie Arab koczuje ze swą familią i trzodą— gdzie muł i wielbłąd jest nieodzownym środkiem transportu, gonić po tych stepach na grzbiecie konia arabskiego—na skrzydłach wiatru Sahary —wieczór pod namiotem, po wykwintnym zrazie upieczonym na wpół przy ogniu i słońcu — w kole towarzyszów przy filiżance czarnej kawy i w dymie tytuniu tureckiego, a noc na podsłuchach dumek i śpiewów, nuconych w różnych językach, których melodye, charakter narodów dokładnie malują — lub na obserwacyi firmamentu, i biegu gwiazd i planet — to wspaniałe— to życie pełne czarów— coś na wpół dzikiego i europejskiego, wpół na łonie natury i podług zwyczajów cywilizowanych;— jednak mimo tej ułudy— wspomnienie o wieży rodzinnego grodu—o śpiewie słowika w rodzinnym gaju—dźwięk pieśniowych wyrazów rodzinnej mowy— roskosze na łonie familii, a nawet pamięć łzy boleści w oku drogich kochanych osób, milszemi się być zdają— to kontrast, to chaos— w pośrodku którego bieg krwi ustaje, ciało trętwieje, nerwy zasypiają — zmysły czynności odmawiają— i duch tylko w zakątku znanego domu, obok łóżka ojca, matki siostry i braci, śni jakiś obraz zamglonej przeszłości.... dopóki pobudka wschód słońca oznajmująca, z miłych go snów budząc, o rzeczywistości nie przekona.

Pierwszy deszcz spadł w nocy z 8 na 9 grudnia. Tego dnia rozkaz do powrotu do Konstantyny dostaliśmy. Trzeciego dnia na marszu, uragan o północy zerwał mój namiot; ale ja sam nie byłem— przeciwnie — wszystkie namioty w powietrzu woltyżowały; huk i poświst wiatru, szum potoków deszczu — krzyk wołania i żarty ludzi

rżenie koni i mułów — to nowy obraz przyjemności żołnierza w Afryce — jednak mimo deszczu, będąc pewnym, że mój namiot nie pójdzie daleko, i że mi go rano przyniosą, — zamiast go gonić w ciemności, zawinąwszy się w skórę baranią, zostałem w potopie aż do rana, oczekując tęczy, która dla braku słońca ciągle zachmurzonego, była niepodobną — tem bardziej, że wszystkie palne przedmioty, a nawet zapałki starannie w chustkę owinięte, zmoczone zostały. Ta noc dla mnie pamiętną zostanie — a to z powodu, że potok wody płynący w poprzek mego łożyska, fajkę mi moją z pod głowy wymulił — i zabrał bezkarnie. Było to dnia 12 grudnia 1861 r. Tego samego dnia stanęliśmy w Konstantynie. — W tym roku przepędziłem 6 miesięcy pod namiotem.

(C. d. n.)

RÓŻNE RZECZY.

Skradzione perły. — W bliskości jednego ze znaczniejszych miast departamentu Sekwany i Marne we Francyi, majętny jeden przemysłowiec posiada obszerną własność, z pysznie urządzonym pałacem, któren zamieszkuje zwykle przez całe lato wraz ze swoją córką 18-letnią bardzo ładną osobą: panna Anna, która nieszczęściem straciła matkę w wieku, w którym dziewica właśnie najbardziej przewodnika potrzebuje, niewiedzieć, zkąd nabrała mnóstwa różnych takich przesądów i zabobonów dziecinnych, jakichby się nawet i starożytna Rzymianka nie powstydziła: I tak, wierzy ona w ślepe przeznaczenie — przewrócona przy stole solniczka w mdłości ją wprowadza — za nic nie siędzie do obiadu, skoro nakryto na osób trzynaście, a gotowa naprzód już przygotowywać sobie żałobę, jeżeli dojrzy, że przypadkiem dwa widelce lub noże w krzyż się ułożą: napróżno ojciec starał się wybić jej z głowy to, rozsądnemi uwagami — to wreszcie wyśmiewaniami, te chorobliwe przywidzenia; nic nie pomogło. — Panna Anna jedne zbywała uśmiechem, inne upornem milczeniem: ale pozostała po staremu w swoich urojeniach. — Tymczasem panna Anna została narzeczoną, a w dzień zaręczyn, młodzieniec, którego swą nadobną rączką miała uszczęśliwić, a którego położenie majątkowe jest również świetne: przyniósł jej kilka rzędów przepysznych pereł, jako zadatek przyszłego szczęścia — których wielkość i uderzająca białość, były zadziwiające prawdziwie! — Piękna narzeczona, tego zaraz wieczora przywdziała na siebie ten wspaniały upominek, a będąc jasną blondyną i białości prawie alabastrowej, więc te perły na jej szyi tak świetnie się wydały, że podziwienie wszystkich, a skrytą zazdrość w niejednej serdecznej przyjaciołce panny Anny wzbudziły; — to też w dwa czy trzy dni po tem familijnem święcie, pod pozorem niby złożenia życzeń młodej narzeczonej, rzeczywiście dla obejrzenia bogatej kolii, której sława rozniosła się do koła — wszyscy prawie sąsiedzi i sąsiadki z okolicy, zjechali się naraz jakby umówieni do zamku — panna Anna uprzejmie wszystkich przyjęła, a po pierwszych zwyczajnych grzecznościach, proszona o pokazanie bogatego daru jaki otrzymać miała, poskoczyła do swego pokoju, aby i zadość uczynić powszechnemu życzeniu, i dogodzić skrytej może miłości własnej tyle naturalnej zresztą w sercu młodej, ładnej i bogatej panny narzeczonej do tego!.. Za chwilę jednak wbiegła napowrót do salonu blada, przerażona, z okiem obłąkanem i z otwartemi sinemi ustami, zalana łzami, trzymając w ręku puzderko, w którem zamkniętą była kolja, zawierająca jedynie w środku bilecik, tej osobliwej osnowy:

„Pani! Zanadto obchodzi mnie twoje przyszłe szczęście, abym w jej posiadaniu pozostawić miał ten niebezpieczny naszyjnik. — Po wszystkie bowiem czasy, perły zawsze przynosiły nieszczęście tym, co się w nie lubiły stroić, i tak np. Anna de Boleyn przenosiła perły nad każden inny strój — Marya Sztuart lubiła je do szaleństwa, Marya Antoanetta zdobiła zawsze swą piękną szyję rzędem bogatych pereł, które otrzymała od cesarzowej Maryi Teresy swej matki przy pożegnaniu — pani de Praslin ani we dnie ani w nocy nawet nie rozłączała się z naszyjnikiem z pereł, któren także posiadała od swej matki.“

„Utrzymują nawet, że i Joanna d'Ark miała u pasa różaniec z pereł, w chwili, gdy się dostała w ręce Anglików. Widzisz tedy pani, że unosząc ten niebezpieczny naszyjnik, tem samem wyświadczam ci wielką usługę, co zdaje mi się, służyć może zarazem za dowód, że jestem twym pani najprzychylniejszym sługą.“

Rzecz naturalna, że bilet ten nie miał podpisu.

Chciano pocieszać pannę Annę nadzieją jeszcze, że ktoś a może i ojciec jej zrobił sobie żart, czemu jednak pan M. zaprzeczył uroczyście — wreszcie poczęły się poszukiwania — więc szukano — rozpytywano się wszystkich i wszędzie, ale napróżno; w końcu udano się do władz policyjnych a jeżeli te — zdołają zgubę odszukać, nie omieszkamy was Szanowne Czytelniczki zaraz o tem zawiadomić.

Korespondencya z Panem Bogiem.

Jako przykład dziecięcej naiwności, a przytem i osobliwej wiary, opowiadają nam następujące zdarzenie:

W jednej z tych odludnych ulic Warszawy, co już dotykają brzegu Wisły, na poddaszu starego i brudnego domu, liczna rodzina wyrobników dotkniętą została jednem z tych nieszczęść strasznych, które w tej klasie ubogiej gdy się pojawi, zagraża zgubą nieuchronną! młoda jeszcze żona, matka pięciorga dzieci, jednak dzieci drobnych; nie tylko że oddawna już zalegała łoże boleści, ale mąż jej co sam jeszcze swą pracą codzienną tę liczną rodzinę żywił, w skutek niebezpiecznego upadku z rusztowania, przyniesiony został jednego wieczora do domu potłuczony i niebezpiecznie ranny; — a teraz cóż począć mieli z sobą ci biedni ludzie i czem żyć?...

Pomiędzy dziećmi tego nieszczęśliwego stadła, znajdowała się mała blondynka, dziecko żwawe, zawsze wesołe, a nad wiek przytem rozwiniętego umysłu — chodziła ona codziennie do szkółki najbliższej, pod zarządem sióstr Felicyanek będącej, — pewnego jednak dnia pozostała w domu, aby z kolei na nią przypadającej, pielęgnować chorych rodziców: Tak siedząc ranek cały, poczęło dziewcze w swej młodocianej główce tworzyć różne projekta nad sposobem jakby tu ratować jeszcze rodziców i rodzeństwo, z tego smutnego położenia — i tak rezonować wreszcie zaczęła:

Wszak nasza dobra siostra Felicya co dnia nam to prawie w szkole powtarza, że gdy kogo spotka jakie wielkie

zmartwienie, potrzeba wtedy udać się do Boga: otóż tedy ja się udam do Boga.—Napiszę do Niego tąki sam ładny liścik, jak ten przeszłej niedzieli com posłała mojej chrzestnej matce, a szczęściem, że mam jeszcze papier i pióro!

I jak umyśliła, tak nie zwłócząc i zrobiła — a podczas kiedy oboje rodzice śpią w śnie gorączkowym twardym, dziewcze gryzmoli jak może list formalny, w którym prosi Pana Boga najprzód, o przywrócenie zdrowia rodzicom, wreszcie o trochę chleba dla niej, dla nich i młodszego jej rodzeństwa — potem wymknąwszy się na palcach z izdebki, biegnie do najbliższego kościoła, a w myśli, że skarbonka dla ubogich jest skrzynką na listy przesyłane do nieba, skrada się pomalutku, oglądając się, aby ją kto nie wypatrzył, i..... chce właśnie swój liścik do środka wpuścić, gdy jakaś podeszła dama co w tej chwili wychodziła z kościoła, w myśli, że się dziewcze do skarbonki zakrada, nagle ją za rękę z tyłu powstrzymała, z temi groźnemi wyrazami:

Nieszczęśliwe dziecko! coś chciało uczynić?..

Tak nagle na uczynku złapana, st. wożona i zalana łzami, opowiada szczerze całe swe domowe nieszczęście i środek, jakim chciała rodzinę uratować, na dowód czego pokazuje list, co go miała właśnie wyprawić do nieba.

Dobra pani wzruszona do żywego poczciwą wiarą dobrego dziecka, biorąc ów list tak jej powiedziała:

— Daj mi ten list, a ja ci przyrzekam, ze dojdzie tam, gdzie jest zaadresowany — ale czy swój adres umieściłaś także?

Dziewczynka spoglądając na swoją nową protektorkę oczami zdziwionemi, odrzekła z całą naiwną prostotą:

— Nie pani -- bo zdawało mi się, że Pan Bóg wie wszystko a więc zna i moje mieszkanie.

— Zapewne — odpowiedziała pani z uśmiechem, tylko że może ten, co ci odpowiedź z nieba będzie odnosił, tyle co Pan Bóg nie będzie wiedział. Więc opisawszy ulicę i dom ubogi, gdzie mieszkała, pobiegła napowrót cała jeszcze zdziwiona i przestraszona zarazem, ale z jakimś uspokojeniem już i nadzieją w sercu.

Nazajutrz rano skoro się zbudziła, wychodząc do sieni, znalazła przy drzwiach ogromny kosz zawierający w sobie: suknie i bieliznę męzką, kobiecą i dziecinną, chleb, jarzynę i wszystkie kuchenne zapasy, oraz znaczną kwotę pieniężną, na wierzchu zaś kartkę przylepioną z tym napisem: „*Odpowiedź Pana Boga.*“ — Nie dość na tem. W parę godzin i doktor przybył z tem oświadczeniem, że ma polecone dopóty ich odwiedzać, dopokąd do zdrowia rodzice nie powrócą.

Wszystko zaś razem wzięte dowodzi, że jeżeli list adresowany do Boga, nie doszedł rzeczywiście swego przeznaczenia, to z pewnością jednak dostał się w ręce jednego z aniołów bożych, których dziś tyle posiada Warszawa!

Teatr. — Towarzystwo dramatyczne p. Juliusza Pfeifra, powróciwszy z letniej wycieczki swej po Galicyi, rozpoczęło szereg widowisk zimowego sezonu dnia 23 b. m. Komedyą Fredry pod nazwą: *Śluby Panieńskie*, dalej przedstawiono: *Wąsy i Peruka* Korzeniowskiego, *Starosta Wieluński* hr. Starzeńskiego i *Miód Kasztelański* Korzeniowskiego; wreszcie na dochód p. Bendy komedyę w 3ch aktach z francuzkiego przez pp. Anicet Bourgois i Adrien Decourcelle pod tyt. *Pociecha Rodziny* a zakończył *Ulicznik Warszawski*; — wprawdzie z wymienionych też przedstawień chociaż widzimy, że repertoar żadną nową sztuką dotąd się nie zwiększył, baczyć jednak na to musimy, że od pewnego czasu nasi komedyo-pisarze zamilkli zupełnie, a i o tłumaczów się nie dopytać—to też p. Pfeifer jak słyszymy, wyjechał do Warszawy, w celu przewertowania tek tamtejszych znakomitości literackich, a przytem jeżeli mu się uda? zamówienia sobie kilka osób personalu Warszawskiej sceny, do zaprowadzenia Wodewillu zdolnych, co rzeczywiście bardzo byłoby u nas pożądanem; — z niemałą radością zauważyliśmy nietylko znaczny postęp, ale i wielką staranność w oddaniu swych ról po powrocie swym, u większej części artystów naszych, mimo to niestety! widzimy ciągle pustki w lożach a nawet i w parterze!.. podczas gdy goszczący w Krakowie przez dwa blizko miesiące *Teatrzyk malowniczy*, dając dwa razy dnia przedstawienia, musiał używać aż pośrednictwa straży policyjnej, przed natarczywością dobijających się o bilety!.. Toż samo działo się i z przedstawieniami przejeżdżających *braków* od włoskiej opery!. Smutny to bardzo objaw tej ciągłej obojętności i bezwzględnej surowości z naszej strony, dla wszystkiego tylko co miejscowe — porównywając z ową nieustającą skwapliwością w wspieraniu lada mierności zabłąkanej do nas!...

Dnia 28 b. m. poświęcono na tutejszym cmentarzu nowo wzniesioną świątynię, pod wezwaniem *Zmartwychwstania Pańskiego* przez p. Ludwika Helcla obywatela krakowskiego ozdobnie i kosztownie wystawioną. Kościół ten na grobowce dla rodziny fundatora, oraz nabożeństwa przygodne i doroczne żałobne przeznaczony, konsekrował ks. biskup Łętowski w asystencyi licznie zgromadzonego duchowieństwa, oraz cechów i bractw, — później krótko ale treściwie przemówiwszy do okoliczności, odczytał breve Ojca Śgo, nadające prawo odprawiania w tym kościele nabożeństw, z przywiązaniem oraz odpustów dla uczęszczających tu na takowe — wielka summa z muzyką wokalną zakończyła obchód.

☞ Do dzisiejszego Numeru dołączają się tablice haftów i krojów — oraz ryciny mód paryzkich kolorowane dla tych, co się na nie abonowali. Wytłumaczenie mód nastąpi w przyszłym Nrze.

GOCZAŁKOWSKA JULIA Redakt. odpowiedz. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“ — Rząd. drukarni ANT. ROTHER.


WIENIEC. Pazdziernik 1862.
Walter

Côté N° 1.



Explications.

Côté n° 1.

Picciola, nouvelle confection d'hiver en drap formant des losanges. Ce modèle nous a été communiqué par la maison de confections Vve J. Robert fils, rue des Jeûneurs, n° 39, à Paris. — Le col, devant et dos, ainsi que les revers des manches sont en velours noir, garnis d'un plissé de satin à la pièce, et ornés de broderies de soie au passé. Nous donnons le croquis du devant et simplement la *pièce* du dos. Celui-ci est tout uni et tombant à plis jusqu'à 40 centimètres du bas de la robe.

N° 1. Devant.

N° 2. Col.

N° 3. Moitié d'une pelisse d'enfant à soutacher sur cachemire. La grecque doit être faite avec un petit galon. Le milieu dans le dos est indiqué par la ligne ponctuée *A. A.*

Côté n° 2.

N° 4. Dos de la confection Picciola.

N° 5. Manche.

N° 6. Revers de la manche.

N° 7. Petite ménagère ou trousse de poche à soutacher sur cuir. Chiffre B. S.

N° 4. Dessus de porte-cigares à broder soit au point de chaînette sur velours, drap ou cuir, soit à faire avec appliques de satin et cuir.

N.B. Nous reproduirons le côté n° 2 sur la planche du mois prochain.